

Po milicyjnej akcji przeciw homoseksualistom w latach 80. pozostały tysiące tomów akt. Są jak bomba z opóźnionym zapłonem

Hiacynt czy zgniłe jajo?

Kończył pracę, kiedy na oddziale szpitala w Nowej Soli pojawiło się dwóch milicjantów. Powiedzieli, że zabierają go na przesłuchanie. 25-letni wtedy pielęgniarz Waldemar Z., nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Zawieźli mnie na komisariat do Zielonej Góry – opowiada Waldemar Z., dziś pielęgniarz w jednym ze szpitali województwa łódzkiego. – Powiedzieli, że muszą mnie przesłuchać w związku z przestępstwem w środowisku gejów. Skąd wiedzieli, że jestem gejem? Chociaż to było ponad dwadzieścia lat temu, nie ukrywałem tego. Łatwo mogli mnie namierzyć.

Na miejscu okazało się, że zakładają mu kartotekę. Pytali o dane osobowe. – Podałem, ale kiedy pytali, jaki typ mężczyzn lubię i jaki rodzaj seksu sprawia mi największą przyjemność, odmówiłem odpowiedzi, broniąc się, że to sprawa intymna. Nie naciskali. Zrobili mi tylko zdjęcia, wzięli odciski palców. Pytali o innych gejów. Zabrali notes, w którym miałem telefony do znajomych: gejów i niegejów. Wszystkich facetów z tego notesu brali potem na przesłuchanie.

Karta homoseksualisty

Dopiero później Waldemar Z. dowiedział się, że był jedną z ofiar milicyjnej akcji „Hiacynt”. Zaczęła się 15 listopada 1985 roku na rozkaz gen. Czesława Kiszczaka, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Milicjanci z wydziałów operacyjno-rozpoznawczych w całej Polsce zatrzymywali ludzi podejrzanych o homoseksualizm lub o kontakty z tym środowiskiem. Na Dworcu Centralnym w Warszawie, który był miejscem spotkań homoseksualistów, milicja urządzała łapanki. Łódzcy milicjanci nie chcą opowiadać o swoim udziale w tej niechlubnej akcji, godzącej w godność i wolność człowieka.



Akta akcji „Hiacynt” spoczywają w archiwach policji i są pod szczególną ochroną

FOT. PAP/CAF/PAWEŁ KOPCZYŃSKI

– Trzeba zrozumieć, że to było polecenie służbowe – mówi emerytowany policjant z Widzewa. – Rzeczywiście, zdejmowaliśmy tym ludziom odciski palców i zakładaliśmy „karty homoseksualisty”.

Zatrzymani podpisywali oświadczenie: „Niniejszym oświadczam, że jestem homoseksualistą od urodzenia. Miałem w życiu wielu partnerów, wszystkich pełnoletnich. Nie jestem zainteresowany osobami nieletnimi”.

Akcja prowadzona była do 1987 roku, choć kartoteki uzupełniano jeszcze do 1988. W całym kraju zgromadzono około 11 tysięcy akt osobowych.

– Władza bała się epidemii AIDS i sądzono, że taka rejestracja homoseksualistów zapobiegnie rozszerzeniu się choroby – wyjaśnia były widzewski policjant. – Poza tym wkładali nam wtedy do głowy, że homoseksualiści to środowisko kryminogenne i warto mieć ich na oku.

Władze PRL miały od początku negatywny stosunek do homoseksualistów, biorąc przykład z towarzyszy ze Wschodu. PRL-owscy i radzieccy kryminolodzy, psychiatry i prawnicy w większości uważali homoseksualizm za patologię. Środowiska te były pod stałą obserwacją MO i SB co najmniej od połowy lat 60.

Dr Antoni Dudek, historyk z Instytutu Pamięi Narodowej: – W latach 80. pod patronatem gen. Wojciecha Jaruzelskiego gen. Baryła prowadził akcję „odnowy moralnej”. Niewykluczono, że częścią tej akcji był „Hiacynt”. Homoseksualistów spisywano, tak jak spisywano spekulantów i niebieskie ptaki, czyli ludzi nigdzie niezatrudnionych. W tamtych czasach było to w pewnym stopniu środowisko kryminogenne, ale milicja to wyolbrzymiała.

Robert Biedroń, szef Kampanii Przeciwko Homofobii, przypuszcza, że był to zamach na rodzący się ruch gejowsko-lesbijski.

– Władza bała się tego ruchu, gdyż jak każdy ruch wolnościowy kojarzyła go z działaniami politycznej opozycji – mówi Biedroń. – Akcja „Hiacynt” w pewnym stopniu służyła też gromadzeniu informacji o opozycji demokratycznej. Była źródłem pozyskiwania tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa.

Szantażysty z SB

Grzegorz O., późniejszy współzałożyciel stowarzyszenia Lambda, w połowie lat 80. studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Był wtedy związany z ludźmi, działającymi w podziemnej opozycji, m.in. z Hanną Suchocką i późniejszymi działaczami „Solidarności”.

– Któregoś dnia podeszła do mnie na uczelni grupka kolegów, wśród których oprócz znajomych z roku byli obcy mi młodzi ludzie – opowiada Grzegorz. – Od słowa do słowa i padła propozycja, żeby zrobić imprezę w akademiku. Spotkaliśmy się kilka razy. Ci „obcy” wypytywali o działalność w podziemiu. Później ostrzeżono mnie, żeby im nie ufać. Po latach, w 1989 roku, dowiedziałem się, że to byli właśnie lu-



Policja chętnie podrzuciłaby akta akcji „Hiacynt” do IPN. Instytut jednak ich nie chce, bo dosyć ma kłopotu z własnymi dokumentami

FOT. PAPA/EPA/ROBERT GHEMENT

dzie od akcji „Hiacynt”. Szantażowali gejów, że jeśli nie zgodzą się na współpracę z SB, zostaną zdemaskowani w środowisku.

Grzegorz uważa, że uszło mu na sucho, bo milicja nie miała na niego żadnych haków.

– Oni szukali ludzi aktywnych zawodowo, na wysokich stanowiskach, mających żony i dzieci, bo w tamtych czasach homoseksualiści, chcąc ukryć swoją orientację, często zakładali rodziny. Tacy ludzie mogli się przestraszyć. A mnie co mogli zrobić? Studia szły mi dobrze, nie miałem rodziny.

Waldemar Z. nie był szantażowany, żeby podjął współpracę z esbekami: – Oni znali moją przeszłość. Jeszcze zanim zostałem pielęgniarzem, próbowali mnie zwerbować na początku lat 80. Byłem wtedy zakonikiem w klasztorze Paulinów na Jasnej Górze. Kiedy chciałem wyjechać na studia do Niemiec, powieździeli: „dostaniesz paszport, jak będziesz współpracował”. Odmówiłem i paszportu nie dostałem. W rezultacie odszedłem z zakonu.

– Myślę, że ulegało im 90 procent gejów. Wychodzi to teraz na jaw, kiedy można zajrzeć do swoich akt w IPN – twierdzi Grzegorz.

Według dr Dudka, taki odsetek homoseksualistów, pozyskanych do współpracy, to przesada.

– Owszem, SB mogła werбовать homoseksualistów za pośrednictwem milicyjnych materiałów, ale tylko wtedy, kiedy byli to ludzie interesujący dla esbeków, którzy mogli być dla nich źródłem ważnych informacji – uważa Dudek. – Przyznam, że nie spotkałem się w ogóle z takim przypadkiem, chociaż natrafiałem na charakterystyki TW, w których sugerowano takie skłonności. Nie można też przesadzać, mówiąc, że akcja „Hiacynt” była pomocna w gromadzeniu informacji o podziemnej „Solidarności”. Homoseksualizm dotyczy przecież tylko 2-3 procent społeczeństwa...

A amerykańska dziennikarka z gazety „Baltimore Sun” w 1985 roku zapytała o tę akcję podczas konferencji prasowej w biurze prasowym rządu. Jerzy Urban, ówczesny

rzecznik prasowy rządu, zaprzeczył, że milicja ją prowadzi.

Jednak nawet w tamtych czasach nie zabrakło w Polsce ludzi, którzy mieli odwagę powiedzieć rządzącym, że taka akcja godzi w prawa człowieka. Jednym z nich był prof. Mikołaj Kozakiewicz, który w styczniu 1988 roku rozmawiał o tym z gen. Kiszczakiem. Minister nie zaprzeczył tak jak Urban, ale powiedział nieprawdę, że akcja dotyczy tylko osób wmieszanych w sprawy kryminalne. Kozakiewicz rozmawiał też z Kiszczakiem na temat rejestracji pierwszego w Polsce stowarzyszenia gejowskiego, wszak oficjalnie peerelowska konstytucja gwarantowała prawo do swobodnego zrzeszania się. Kiszczak zaproponował, że jeśli Kozakiewicz i kilka innych osobistości podpiszą się pod listem w tej sprawie, to „życzliwie” go rozpatrzy. Na ów list Kozakiewicz nie dostał odpowiedzi.

Kłopotliwe dokumenty

Milicyjna akcja sprawiła, że spora część homoseksualistów zaczęła jeszcze bardziej ukrywać swoją orientację. Wielu wyjechało z Polski.

Dziś Kampania Przeciwko Homofobii domaga się zniszczenia 11 tysięcy akt akcji „Hiacynt”, będących pozostałością po akcji.

– To bomba z opóźnionym zapłonem – uważa Robert Biedroń. – Mamy obawy, że materiały te ktoś może wykorzystać, krzywdząc ludzi. Specjalna komisja historyków powinna je opracować, wymazując z tych dokumentów nazwiska i inne dane, a potem je zniszczyć.

Antoni Dudek: – Ciągłe pojawiają się oskarżenia, że ktoś do czegoś wykorzysta te materiały, ale to nie jest argument, żeby je spalić. Palenie dokumentów to barbarzyństwo. Ten problem jest demonizowany, bo żyjemy w czasach agresji mniejszości, które usiłują wyeksponować swoją rolę. To część tej kampanii.

Jednak wielu przedstawicieli tej mniejszości boi się dziś wypowiadać w gazecie pod swoim nazwiskiem, choć jeszcze kilka lat temu nie mieli oporów.

– Obecne rządy nam nie sprzyjają – uważa Waldemar Z.

Zasadniczą część akt akcji „Hiacynt” jest w archiwum Komendy Głównej Policji i archiwach komend wojewódzkich.

– Są to zbiory szczególnie chronione – mówi Paweł Biedziak, dyrektor biura komunikacji społecznej w KGP. – Policjanci mogą mieć do nich dostęp za specjalną zgodą. Materiały te mogą być jeszcze dziś przydatne do prowadzenia spraw kryminalnych.

Jak twierdzi Biedziak, część dokumentów akcji „Hiacynt”, dotyczących jej związku ze Służbą Bezpieczeństwa, została przekazana do Instytutu Pamięi Narodowej. IPN twierdzi, że w swoich zbiorach ma szczątkowe materiały z tej akcji.

– Kilka razy chcieliśmy przekazać dokumenty z akcji „Hiacynt” do IPN, ale nie doszło do tego – mówi Biedziak. – Podobno było to niemożliwe, bo wymagało zmian w ustawie o IPN.

Nieoficjalnie mówi się, że akta te są nadal w policyjnych rękach, gdyż IPN po prostu ich nie chce, bo dotyczy zbyt wrażliwej sfery. – Dla policji to zgniłe jajo, które chętnie by nam podrzuciła. Mamy dosyć kłopotów z dokumentami, które są w naszych zbiorach i nie chcemy kolejnych kontrowersyjnych – twierdzi jeden z pracowników IPN.

– IPN nie przechowuje materiałów policji i mam nadzieję, że te akta z Komendy Głównej nigdy do nas nie trafią – mówi Antoni Dudek. – Mamy ważniejsze sprawy niż homoseksualiści w latach 80.

Dudek przyznaje jednak, że jest to cenny materiał historyczny, ale z racji swojej drażliwości niech sobie poleży w policji jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat.

– Kiedyś będzie to dla historyka źródło ciekawych badań na temat obyczajowości późnego PRL – dodaje.

Na razie, jak twierdzi Paweł Biedziak, żaden historyk nie pracuje nad tymi materiałami.

– Interesują się nimi tylko dziennikarze... Wciąż pytają, co się dzieje z aktami akcji „Hiacynt” – wyjaśnia Biedziak.

JOANNA LESZCZYŃSKA